Rozmaitości

Dnia 20. października **Nr 42.** 1838 roku.

RÓŻA MARTIN.

Z francuzkiego.

(Dokończenie.)

Nazajutrz otrzymała Róża bilet następujący: »Nie trać pani nadziei! Mówiłem za jéj ojcem, »opisałem jego stan smutny wyrazami, jakie»mi natchnęła mię pamięć na owe łzy, które »z twoich pięknych oczów płynące widziałem. »Własny jego syn nie byłby za nim gorli»wiéj się wstawił. Ten, do którego się udałem, »został wzruszonym i przyrzekł mi, iż wszy»stko, co tylko jest w jego mocy, najchętniéj »dla jéj ojca uczyni. Jutro, jeżeli mi pani téj »przyjemności nie odmówisz, spodziewam się »ją pewniejszą wiadomością powitać. Lecz za»klinam ją, nie wspominaj o tém bynajmniéj »przed swoim ojcem; bo gdy się dowie, że »to ja jestem, który zamyślam wybawić go »z więzienia; uniesiony dumą i gniewem, zni»weczy wszystkie moje zabiegi, i zgubą swoją »w nieszczęście nas pogrąży. Dla tego niech »się nigdy nie dowie o tém, żem jego wy»bawcą; — tém bardziéj przyzwolić możesz »na to pani, że jutro po raz ostani mówić będę »z tobą, i pożegnam cię na wieki!«

Róża Martin nie znalazła w tym liście najmniejszéj wzmianki o miłości; wszystko, co w sobie zawiérał, było tylko szczérą chęcią wybawienia jéj ojca. Już mu jéj serce przebaczyło, już zapomniała zupełnie o jego wykroczeniu. »Donosi mi, że jutro przyjdzie! mamże się z nim zobaczyć?« pytała sama siebie bez ustanku. »Jeżeli na niego nie zaczekam, sądzić będzie, że pogardzam jego pomocą. Ojciec mój zostanie opuszczonym, a zarzut, żem zaniedbała wydobić go z nieszczęścia, ciężyłby mi przez całe życie moje na sumieniu. Nie; muszę się widzieć z Juliuszem i będę z nim mówiła.« Powziąwszy ten zamiar, była spokojniejszéj myśli. Nadszedł wieczór; udała się na spoczynek.

Złudliwe sny, w których to Juliusza, to znowu ojca przed sobą widziała, niepokoiły ją przez noc całą. Czuła słodkie ucałowanie ojca na swém czole, a jeszcze słodsze Juliusza Lenoir na swoich rękach. Sny sprzyjają najczęściéj osobom rozkochanym, i we śnie godzą się kochankowie, którzy się poróżnili na jawie.

Róża, wymawiając to imię Juliusz, obudziła się ze snu. »Dzisiaj przyjdzie!« rzekła z cicha do siebie i spojrzała ukradkiem w małe źwierciadło, które się przed chciwością wierzycieli ostało. Dziewicza chęć podobania się, ocknęła się znowu w jéj sercu, w którém od dni kilku same tylko bolesne uczucia panowały.

Słońce wzejszło grubemi otoczone chmurami, a dészcz ulewny, który się wkrótce w nawalnicę zamienił, bił strumieniami w okna samotnego mieszkania. Nie długo trwało, a już ulicę *du Temple* zalał potok wezbrany. Pomimo tę ulewną zawieruchę, biegła Róża często do okna, i zawsze od niego odchodząc mówiła ze smutkiem do siebie: »Juliusz zapewne już dziś nie przyjdzie! A jednak... nie zakołatałże ktoś do drzwi?« Róża bieży otworzyć, i widzi przed sobą — Juliusza, do nitki dészczem przemokłego. Lecz młody Lenoir zdawał się tą przygodą mało być zajętym; na twarzy jego widać było gniéw i zmartwienie. Róża nie śmiała go zapytać.

»O tygrysy!« zawołał nareszcie, rzuciwszy się na słomiane krzesło. »Wiész pani, jaką mi dano odpowiedź? »»Ależ do licha,«« mówili mi; »»wszak on nie traci tylko sześć do siedmiu set franków, podczas gdy my pięćkroć razy więcéj tracimy!«« To prawda, jednakże chciéjcie

panowie na to zważać — rzekłem — że on wolności pozbawiony, że go zgryzota i nędza o śmierć przywiedą. »»Do tego nie przyjdzie; wierzycielom jego sprzykrzy się dla tak lichéj kwoty trzymać go w zamknięciu tak długo!«« Otóż cała korzyść moich zabiegów!«

»O mój Boże! mój Boże! nié ma więc żadnéj nadziei!« zawoła Róża, zalawszy się łzami, i nie mogąc dłużéj utrzymać się na nogach, o mur się oparła.

»Uspokój się Różo,« rzekł Juliusz pocieszającym głosem; »twoje łzy do rozpaczy mię przywodzą! Ja ci twego ojca powrócę, choćbym miał niebo i ziemię przeciw sobie oburzyć! Muszę się téj kwoty wystarać! będę pożyczał... przedawał... na wszystko się odważę... nawet mego ojca okradnę; jeżeli już tak być musi!«

»Wszechmocny Boże!« zawoła przestraszona Róża. »Juliuszu! upamiętaj się i zważ, co uczynić zamyślasz!«

»Różo, przebacz mi, nie słuchaj mych wyrazów, bo ze mnie rozpacz mówi!« odrzekł Juliusz, puściwszy jéj rękę, którą był mimowolnie ujął. Razem zatrzymał się i ująwszy jéj ręce w swe dłonie, wzruszony do żywego, zawołał: »Albo mię, jaką wybawcę swego ojca ujrzysz, albo nie ujrzysz na wieki!«

To rzekłszy, nie zważając na trwogę i łzy biédnéj dziéwczyny, pobiegł jak bez zmysłów na dół po wchodach, a za chwilę ujrzała go Róża przez okno, że jak wicher śród dészczu bez opamiętania się, pogonił.

»Biédny chłopiec! jakże on do mnie wielce przywiązany!« pomyśliła sobie. »A mójże ojciec, mój biédny ojciec!« ta była druga myśl, która się jéj po odejściu Juliusza nasunęła.

W godzinę poźniéj już była w więzieniu *St. Pelagie* u swego ojca.

* * *

Ośm dni upłynęło, a Róża nie miała najmniejszéj wiadomości o Juliuszu. Biédna dziéwczyna dnie i nocy we łzach przepędzała, zawsze jéj bowiem ostatnie słowa kochanka brzmiały jeszcze w uszach. Lecz jakkolwiek wątpliwość rozdziérała jéj serce, chociaż niespokojność o los ojca srodze udręczała jéj duszę, zawsze jakiś tajemny głos odzywał się w jéj sercu: »Ty go jeszcze widzieć będziesz!« A jednak obawiała się, aby przepowiednia głosu tego nie ziściła się. Jeżeli Juliusz uratuje jéj ojca, będzież ona mogła o nim zapomnieć? Róża czuła to, iż serce jéj wtedy bardziéj niż kiedykolwiek do niego się przywiąże, że kochając go bez nadziei, nieszczęśliwą zostanie! Wiedziała bardzo dobrze o tém, że ją tylko wieczne łzy i udręczenia czekają; ale wybawienie ojca będzie tych łez, tych udręczeń nagrodą; a ta pocieszająca myśl usuwała wszelką inną obawę.

Jakoż młoda dziéwczyna ta nie zawiodła się w istocie w swojém przeczuciu; albowiem jednego poranku wpadł Juliusz z radością na twarzy do pokoju swojéj kochanki. W jego spojrzeniu nie widać było najmniejszego smutku, radość jaśniała na czole, a na ustach jego jawił się uśmiéch szczęście oznaczający.

»Zwycięztwo, zwycięztwo! najdroższa Różo!« zawołał wchodząc do pokoju; »tą razą nie daremne były zabiegi moje. Jutro ojciec wćpanny wyjdzie na wolność; jutro, a może jeszcze i dzisiaj. Dostałem nareszcie tych tysiąc franków, o które już tak długo żebrałem.«

»Zacny, poczciwy Juliuszu,« rzekła do łez poruszona dziewica, która zjęta wdzięcznością, ledwo że wybawcy swemu do nóg nie padła. »Bądź pewien tego, panie Juliuszu, że mój biédny ojciec wszystko ci przebaczy. On musi ci przebaczyć!« to mówiąc, mimo wiedzy swojéj podała rękę Juliuszowi, którą tenże ucałował z największém uniesieniem.

»Ach, gdybym jeszcze dzisiaj uwolnić mógł ojca wćpanny z tego nieszczęsnego więzienia, co za szczęśliwą chwilę sprawiłbym wam obojgu!... Z tém wszystkiém, chociaż już cel życzeń moich jest osiągniony, jeszcze mi jedna obawa pozostaje, która serce moje srogo udręcza i wszelkiego szczęścia pozbawia. Ojciec wćpanny pomimo przebaczenia, które dla mnie imieniem jego przyrzekasz, będzie mną pogardzać, odtrąci mię od siebie, i zakaże mi bywać w swoim domu. Nie będzie mi wolno widywać się z wćpanną! Zabroni wćpannie pod przeklęstwem swojém myśléć o mnie, i tym sposobem prędko o mnie zapomnisz.«

»Juliuszu! i tyż możesz sądzić, abym kiedy po takiéj przysłudze, którąś wyświadczył memu ojcu, o tobie zapomnieć mogła?«

»I przezto będziesz tém nieszczęśliwszą!«

»Ach, niestety, będę!«

»Sądziszli wćpanna, iż ja, nie mogąc jéj widywać, ani bywać w jéj pomieszkaniu —

mniéj będę nieszczęśliwym? lecz teraz, kochana Różo, dajmy pokój tym myślom; poświęćmy tę chwilę jedynie kochanemu ojcu twemu; jutro pomyślimy o sobie.« To rzekłszy ujął dziewczynę w swe objęcie i przycisnął do swego serca: »Spodziéwam się, że pan Martin jeszcze nie wié, iż wkrótce uwolnionym zostanie?«

»Nie; jeszczem nie mówiła mu o tém.«

»Ach, jakąż radość, jak niespodzianą rozkosz mu to sprawi, gdy się dowié, że jest wolnym i powróconym ukochanej swéj córce!«

»Lecz on zechce poznać swego wybawcę,« odrzekła Róża, starając wywinąć się z jego objęcia.

»Dobrze, chciéjże wćpanna wymienić mu nazwisko moje i wyjednać mi u niego przebaczenie. Potém do mnie to już należéć będzie okazać się godnym tego, abym w czasie, jeżeli Bóg pozwoli, mógł na zawsze pozyskać jéj rękę. Prawda, że na to potrzeba czasu i wytrwałości, ale jeszcze tylko lat kilka, a wtedy będę już panem swoich czynności. Ojciec mój może mnie wprawdzie wydziedziczyć; lecz ja mało dbam o pieniądze i bogactwo, byłeś tylko wćpanna była moją!« To rzekłszy, przycisnął drzącą dziewczynę do swoich piersi i z największym zapałem pocałował ją w usta.

»Puść mnie, panie Juliuszu! proszę cię oto, puść mię! Nie mówiłżeś dopiéro, że tylko o mojém ojcu myślić będziemy?«

»Ach, prawda! słusznie mówisz, luba Różo. Przebacz mi; prawdziwie, z radości sam nie wiém, co czynię! A zatém jutro, a może jeszcze i dzisiaj!« To rzekłszy, już był za drzwiami.

* * *

O, jakże dzień był niezmiernie długim dla Róży! Gdy nadszedł wieczór, tkliwa córka, opuściwszy swego ojca, szła spiesznym krokiem do swojego pomieszkania. »Jutro,« rzekła do siebie z radością, »będzie mój ojciec wolnym; już po raz ostatni spoczywa dziś w tych nieszczęsnych murach!«

Przyszła do domu. Z coraz większą niespokojnością liczyła każdą godzinę; już wybiła jedenasta, już zaczęto wszędzie sklepy zamykać. Róża, jak posąg nieruchoma, stała przy oknie i z bijącém sercem patrzyła w noc ciemną. O, jakżeby rada była, gdyby już poranne słońce do jéj okien zawitało. Ulica wyludniała się coraz bardziéj, i coraz większa osiadała ciemność; tętent przechodzących rozlegał się śród cichego powietrza. Uderzyła dwunasta. Głębokie zaczęło panować milczenie. Aż oto na dziedzińcu dały się słyszéć kroki jakiegoś mężczyzny, który jak cień po przed okna Róży przemknął. Nie mogła go dojrzéć, bo już od chwili, upadłszy na kolana, oparła głowę o łóżko, i łzami się zaléwała. Teraz słyszała wyraźnie, że ktoś do drzwi się zbliżał; zdało się, że ten chód jest jéj znany, lecz drzwi otworzyć, wzbraniało jéj jakieś trwożliwe uczucie. Nareszcie słyszy, że ktoś lekko zapukał do drzwi. Zimny dreszcz przebiegł jéj członki; wstrzymuje w sobie oddech i z trwogą nadsłuchywa. W tém ktoś puka powtórnie. Nareszcie powstaje; lecz nie może utrzymać się na nogach; z wielkim trudem idzie do drzwi. Drzącą ręką otwiéra je i wraz zamyka skwapliwie z wielkiém pomieszaniem, jak gdyby już przezto samo do winy się poczuwała. Usiłuje przemówić, lecz jéj na słowach zbywa. Niespokojność jéj wzmaga się coraz bardziéj; nareszcie utraciwszy prawie przytomność zmysłów, chwiać się zaczyna. Juliusz postrzegł ten zamęt jéj duszy; ujął drzącą dziewczynę w swoje ramiona i zaprowadził do krzesełka, na którém usiadłszy, przyciągnął ją bliżéj ją siebie, i chociaż wzbraniającą się i zapłonioną, przycisnął do swojéj piersi.

»Nakoniec, luba dziewczyno, wybiła szczęśliwa godzina!« zawołał z uniesieniem, »przynoszę ci ów talizman, który ojca twego z więzienia oswobodzi.« To rzekłszy wyjął z kieszeni pugilares, rozwinął przed nią przezroczysty papiér, przybliżył do niego świécę, a uradowana Róża przeczytała na nim napis: »Tysiąc franków.« Ujrzawszy to, skrzyknęła z uniesienia głosem radości, i mimo wiedzę swoję, prawie na pół omdlała, przytuliła głowę do bijącéj piersi Juliusza, który ją najpieszczeńszemi okrył całunkami.....

* * *

Z wstydliwym rumieńcem na twarzy, z posępném, zapłakaném okiem szła Róża nazajutrz przez ulicę *du Temple* do bankiera w *rue Barbette*. Za drogo okupiony papiér leżał ciężko w jéj zanadrzu, na gwałtownie bijacém sercu. Z uczuciem występku spieszyła okupić wolność ojca, dla którego cnota córki była na téj ziemi jedynym skarbem.

»Ach, gdyby on się o tém dowiedział... lecz od kogoż się dowić? a zgryzota i zmartwienie wtrącą mnie piérwéj do grobu, za nim mnie wstyd i zhanbienie dosięgną!« Tak mówiła sama do siebie.

Róża nie przeczuwała tego, iż właśnie téj chwili miała stanąć przed ojcem Juliusza; podobnie jak i Juliusz nie wiedział o tém, iż właśnie jego ojciec był wierzycielem Martina. Znając bowiem jak zawziętym jest ojciec przeciw jego kochance, chociaż przyciśniony ostateczną potrzebą, nie śmiał u niego szukać wsparcia.

Pan Lenoir nie słyszał, że u drzwi jego zlekka zadzwoniono. Lecz gdy dzwónek ozwał się po raz trzeci, powstał nareszcie z krzesła i dąsając się na natrętnych, że mu żadnéj chwili spokoju nie dają, poszedł otworzyć. Zchmurzona twarz jego, która już sama przez się niemiłą była, na widok Róży Martin jeszcze groźliwszą się stała; chcąc się jéj pozbyć zapytał krótko i opryskliwie: »No, cóż tam? co mi wćpanna przynosisz?«

»Przynoszę kwotę, którą się ojciec mój u pana zadłużył?«

»Co słyszę?... Prawdziwie, mocno żałuję, że tak sobie surowo postąpiono z ojcem wćpanny. Potrzeba znagliła mnie do tego kroku, chociaż moje serce na tém bardzo cierpiało. Gdyby mi stosunki moje dozwoliły były zaczekać — zawierz wćpanna, iżbym chętnie był to uczynił, albowiem wiadomo mi, iż ojciec wćpanny jest uczciwym człowiekiem. Ale ci sędziowie postępują sobie surowiéj, niźli tego żądamy.« W ten sposób usiłował stary Lenoir przez czas nie mały uniewinniać przed dziewczyną surowość swoję. Jakże inaczéj mówił wtedy, gdy Róża, klęcząc przed nim z wzniesionemi rękami, błagała go o uwolnienia nieszczęśliwego ojca swego. Podczas gdy bankier usprawiedliwiał się ze swego postępowania, Róża wyjęła banknot z zanadrza, i pomna ceny, za jaką go nabyła, drżąca i pomieszana mięła go w swoim ręku. Nie można się dziwić, iż pan Lenoir rzucił wzrokiem na banknot, z którym się Róża tak bezwzględnie obchodziła.

»Ależ moja panno,« rzekł, »któż widział w ten sposób obchodzić się z tak drogim papiérem? Taka kwota nie łatwo się zarobić daje.«

»Prawdę wćpan mówisz!« odrzekła Róża, przebudzona z głębokiego roztargnienia i podała mu banknot. »Zaiste, taką kwotę ciężko jest nabyć!« To rzekłszy jak śmierć pobladła, a jéj oczy łzami się zapełniły.

Pan Lenoir rozwinął banknot; ale zaledwo nań spojrzał, obrócił się nagle do Róży, która przed nim z spuszczonemi stała oczyma. Twarz bankiera spłonęła gniewem; zerwał się z krzesła i chwycił za ramię biédną dziéwczynę, która pojąć nie mogła przyczyny jego uniesienia.

»A to jest bezwstydność do nie uwierzenia!« zawołał wstrząsając nią gwałtownie.

»Wszechmocny Boże! cóżem ja przewiniła?« złożywszy ręce zapyta dziéwczyna drżącym głosem.

»Jako! coś przewiniła?... Toż wćpanna myślisz, że jestem ślepy, albo bez zmysłów, iż zamiast banknota przynosisz mi adres dentysty?«

»Przez Boga żywego, mój panie! chciéj się zastanowić, czy się równie nie mylisz? Co do mnie, jeszczem w życiu nie widziała banknota téj wartości.« Rzekła Róża głosem drżącym i blizka omdlenia z przestrachu.

»Ja się bynajmniéj nie mylę! Ale jeżeli tak jest w saméj rzeczy, jak powiadasz, więc jesteś oszukaną; zapewne ktoś sobie zażartował z wćpanny!«

Słowa te były śmiertelnym ciosem dla biédnéj Róży, padła jakby nieżywa na ziemię.

Zdziwienie, przestrach i pomieszanie przejęły zarazem bankiera. Nie wiedział, co miał czynić. To biegł zadzwonić, by mu kto w pomoc przyszedł, to znowu szukał czémby Różę do przytomności ocucić. Nareszcie porwał flaszeczkę z kolońską wodą, i wylawszy ją na twarz zemdlonéj, zaczął wołać z coraz większym przestrachem: »Mościa panno, przez miłość Boga! przyjdź do siebie! Co też wćpanna robisz! Nadaremnie; nie słyszy mię!... Co za szkaradna rzecz oszukiwać tak dobrą i niewinną dziéwczynę. Wszechmocny Boże, jeźli ona umrze w mym ręku, cóż na to świat powié! Mościa panno!«

Nakoniec Róża przyszła do siebie. Stary Lenoir podniósłszy ją z ziemi, zaprowadził na sofę; otworzył czém prędzéj okno dla wpuszczenia świéżego powietrza, i powrócił natychmiast do biédnéj, osłabionéj dziéwczyny, aby jéj być pomocnym.

Powoli przyszła Róża do zupełnéj przytomności, a pan Lenoir ochłonął z okropnego przestrachu. Radość jaśniała w jego oczach, widząc jak bladą twarz dziéwczyny zaczął znowu ożywiać piękny rumieniec. Zaiste, w téj chwili niktby go był nie poznał; albowiem zamiast zwyczajnéj chmury surowości, udział i litość malowały się w jego twarzy. Ująwszy nieszczęśliwą za rękę, rzekł: »Żal mi cię mocno, moje dziecko. Jednakże nikczemnik ten, który cię tak szkaradnie oszukał, nie będzie się cieszył swoim tryumfem. Uspokój się; obudziłaś litość w mém sercu. Jakkolwiek weksel ten jest fałszywy, ojciec wćpanny jeszcze dzisiaj wypuszczonym będzie na wolność, i dozwolę mu, jakiegokolwiek żądać będzie czasu do spłacenia mojéj należytości. A zatém uspokój się, moje dziecko, wynurz przede mną jak przed własnym ojcem wszelkie twoje zmartwienia; ja ci nie odmówię, ani rady, ani pomocy. Opowiédz mi, jakim sposobem dostał się w twoje ręce ten banknot, a przysięgam na Boga, iż tego nikczemnika, który cię tak szkaradnie oszukał, zapozwę do sądu, aby zasłużonéj nie uszedł kary!«

»Ach, mój panie!« rzekła Róża, zalawszy się łzami; »wćpan nie możesz sobie wyobrazić, jak wielce jestem nieszczęśliwa!... Jam tego kochała, co mnie tak szkaradnie oszukał!«

»Wielki Boże!« zawołał Lenoir z przestrachem. »Ha, rozumiém wćpannę!... Jednakże, jakim sposobem mogłaś wćpanna kochać takiego nikczemnika? To musi być potwór i wyrzutek ludzkości!«

»Ach, gdybyś go wćpan znał, mój panie! zapewnebyś o nim mówił inaczéj. Juliusz byłby w stanie samo Niebo oszukać.«

»Więc się on Juliusz nazywa? Juliusz? A któżto jest ten Juliusz, gdzie mieszka?«

»Piérwéj zostawał w tym samym domu kupieckim, który mego ojca do upadku przywiódł — a teraz —«

Pan Lenoir nie dał jéj dokończyć. Te słowa były dla niego ciosem niespodzianym, skoczył, gdy je usłyszał, jak od węża ukąszony. Poczém zbliżył się do Róży. »Nie prawdaż, moje dziecko, że ty nie kłamiesz? Sądzę, iż można zawierzyć twemu słowu?« .

»Przysięgam, że prawdę mówię.«

»O co za szkaradny podstęp!« zawołał Lenoir. Człowiek ten, który może w życiu swojém nigdy nie zapłakał, usłyszawszy wyznanie Róży, uczuł dwie łzy, toczące się po jego licu. »Co za bezwstydność, zhańbić i okraść biédną, niewinną dziéwczynę! o przekléństwo tobie Juliuszu!« zawołał pełen rozpaczy, uderzając o stół pięścią.

»Mościa pani Durand!« rzekł cokolwiek spokojniejszym głosem do swojéj gospodyni, która téj samej chwili weszła do pokoju; przyrządź wćpani w małym pokoiku gościnne łóżko; zaprowadź doń tę pannę i zajmiéj się nią z największą troskliwością. Słyszysz wćpani? ona jest moją bliską krewną, a przytém słabą.«

»Ależ mój panie!« rzekła Róża z niespokojnością i uchylając się od tych względów.

»Nie wzbraniaj się, kochana panienko. Nie mając przy sobie ojca, pozwól niech ja zastąpię jego miejsce. Wćpanna potrzebujesz spoczynku!

* * *

Pan Lenoir, zostawszy sam na sam w pokoju, podał się całkiem zapalczywości swego gniewu. Surowy ten spekulant, który dla swojego dłużnika żadnéj nie czuł litości, i który swe pieniądze uważał za towar kupiecki, co mu podobnie jak każdy inny, procenta nieść powinien; nie mógł tego pojąć, jak można być tak nikczemnym, by oszukać biédną i niewinną dziéwczynę.

Napisał do swego syna bilet z rozkazem, aby natychmiast do niego przyszedł. W godzinę późniéj stanął Juliusz Lenoir przed swoim ojcem.

Bankier miał dosyć czasu do ułożenia w myśli sceny, którą dla swego syna przygotował. Na twarzy jego osiadła znowu dawna ponura spokojność. Młody Lenoir nie przeczuwał bynajmniéj, co się wydarzyło, i nie wiedział dla jakiego powodu rozkazał ojciec tak niespodzianie, by się niezwłocznie przed nim stawił. Gdy Juliusz wszedł do pokoju, pan Lenoir zajęty był pisaniem listu, i udawał, jak gdyby nie postrzegł stojącego przed sobą syna, który z trwożliwością zwrócił swe oczy na leżące na biurze pistolety. Ponieważ tajemnicze milczenie to zaczęło nareszcie przykrém być dla Juliusza, niby więc dla rozrywki, lub dla zajęcia się jakową rzeczą, wziął pistolet do ręki. Atoli dreszcz go przejęła, gdy ojciec obróciwszy się znienacka, spojrzał na niego strasznym wzrokiem. Czuł, iż pobladł na twarzy, a serce jego zaczęło bić gwałtownie. Nareszcie powstał pan Lenoir, zapieczętował list i rzucił go przed siebie, nie napisawszy na nim adresu; potém obrócił się do Juliusza i złożywszy na krzyż ręce, wlepił w niego wzrok przenikający.

Juliusz spuścił w ziemię oczy; nigdy jeszcze nie widział tak straszliwym swojego ojca.

»Nié masz jeszcze lat dwadzieścia i dwa,« rzekł pan Lenoir; »jesteś dopiéro w dwudziestym drugim roku, a jednak, jak się zdaje, pieniądze mają u ciebie więcéj wartości, aniżeli u mnie. Już od dawna mówisz mi, iżbyś chciał pojąć jaką bogatą osobę za żonę, i spostrzegam, iż tym ważnym przedmiotem zajmujesz się z taką gorliwością, jaka w twoim wieku prawie zawczesną się mi być wydaje. Z tego wszystkiego wnoszę, że pieniądz ma dla ciebie bardzo wielkie powaby Juliuszu?«

»Nie mogę zaprzeczyć,« odrzekł Juliusz jąkając się, »iż zasady i nauki, któreś ojcze już za młodu wpoił we mnie, mocno utkwiły w mojém sercu, i przyznaję, iż życzenie moje —«

»Tym więc sposobem wczesna żądza bogactwa stłumiła w tobie wszelkie inne uczucie?« rzekł spekulant z goryczą.

»O jakiémżeto uczuciu mówisz, mój ojcze? Nie mówiłżeś mi sam, iż świetne swe stosunki i poważanie, którego w społeczności doznajesz, korzystnemu ożenieniu się winien jesteś?«

»Prawda, iż korzystne ożenienie było początkiem mojego znacznego majątku. Lecz sądzę, żem ci także powiedział, iż nade wszystko cenię tego człowieka, który, gdy idzie o przywrócenie honoru cnotliwéj dziéwczynie, którą swą występną miłością unieszczęśliwił, nie słucha żadnego innego głosu, jak tylko swego sumienia.«

»Prawda ojcze, iż to mówiłeś,« odrzekł Juliusz blednąc na twarzy.

»Gdybym ci więc majętną zaproponował osobę, mógłżebyś ty bez zapłonienia przyjąć jéj rękę?«

»Przebacz, mój ojcze!« zawołał Juliusz padłszy mu do nóg; »przyznaję, iżbym nie mógł przyjąć jéj ręki!«

»Ha! więc przyznajesz się i do téj zbrodni?«

zawołał stary Lenoir, i porwawszy w gniewie ze stolika adres dentysty, trzymał go swemu synowi przed oczyma.

»Cóżto za papiér?« zapytał Juliusz drżący i jak trup blady.

»Jestto fałszywy banknot, któryś ty dał córce Martina. Czy go poznajesz? Nikczemniku!«

»Nie zaprzeczam ojcze, żem wczoraj Róży Martin dał pugilares, w którym był bilet na tysiąc franków; ale wzywam Niebo za świadka, że banknot ten nie był fałszywym. Ja sam miałem go w ręku, przypatrzyłem się mu dokładnie. To nie może być ten sam bilet. Oszukano cię, mój ojcze. Zabij mnie natychmiast, jeżeli mi nie wierzysz, lecz przysięgam ci na mój honor, żem niewinny!«

Stary Lenoir, usłyszawszy głos, którym Juliusz mówił z taką pewnością, i widząc rozpacz, malującą się w jego twarzy, oniemiał z zadziwienia. »Co za straszliwa tajemnica,« rzekł sam do siebie, poglądając na swego syna badawczym wzrokiem, w którym niepojęcie i wątpliwość czytać się dawały. »Nie mogę temu wierzyć,« rzekł nareszcie, ażeby dziéwczyna aż do tego stopnia udanie posunąć mogła; niepodobna, ażeby jéj rozpacz i zemdlenie były zmyślone!... Juliuszu! ty mnie oszukujesz!« zagrzmiał starzec głosem przerażającym.

»O jakiéjże dziéwczynie mówisz, mój ojcze?«

»O jakiéj? o Róży Martin; o niéj saméj. Tu jeden tylko jest przypadek: Albo ty, który ją spotwarzasz, jesteś od niéj stokroć winniéjszym, albo ona, która tak złudnie grała swoję rolę, jest najbezwstydniejszą pod słońcem obłudnicą!«

»Kto, Róża? Róża obłudnicą?« zawołał Juliusz. »O mój ojcze, nie wierz temu! Ona jest aniołem, czystą jak sama cnota; ja to, ja sam godzien jestem kary; jamto nadużył jéj niewinnéj miłości! Nie prawdaż ojcze, ona ci nie przyniosła tego biletu? Nie prawdaż ojcze, że to nie ona!«

»Mówię ci, że mi ona sama go przyniosła.«

»Nie podobna, mój ojcze! Zapewne ktoś przybrał jéj nazwisko, aby cię oszukać! Wszakże nie znasz jéj ojcze.«

»Znam ją i mówię ci, że mi ona sama go wręczyła.

»Choćby i tak, ona przecież jest niewinną; nato ci ojcze przysiądz mogę!«

»A zatém ty jesteś winowajcą. Ty sam, a nie kto inny.«

»Ojcze, ojcze! oto na klęczkach przysięgam ci, że to nie jest ten sam banknot, który od mego przyjaciela otrzymałem.«

»Jeżeli tak, starajże się przynajmniéj docieć téj tajemnicy.«

Juliusz nakrył czoło swoje obiema rękami i zamyśliwszy się mocno, usiadł na krześle. Nagle zerwał się z swego miejsca, a radosny uśmiech przebiegł po jego twarzy.

»Teraz sądzę, żem odkrył tę straszną tajemnicę!« zawołał. »Ale będzieszże mi wierzył, mój ojcze?«

»Omal nie uwierzę, iż się okaże, że oboje niewinnymi jesteście.«

»Od dni kilku przyjaciel mój, Karol, przyrzekł mi pożyczyć kwotę potrzebną do uwolnienia pana Martin z więzienia. Wczoraj znowu do niego się udałem! zamówił mnie na wieczór. Możesz sobie wyobrazić ojcze, żem nie omieszkał stawić się na czas przeznaczony. Zastałem tam kilku moich znajomych, a Karol rzekł mi zcicha do ucha, iż mi banknot na tysiąc franków natychmiast wręczy, skoro się obecni rozejdą. Dozwalał mi dla mego przekonania wziąć banknot do ręki, ale oparł się koniecznie, że go nie piérwéj wziąć mogę, aż z nimi zjadłszy wieczerzę, już do domu odchodzić będę. Sądząc się mu bardzo być obowiązanym— pozostałem. Poczém dano wieczerzę, albo raczéj bankiet; a gdyśmy już rozchodzić się zaczęli, Karol wcisnął mi skrycie do ręki pugilares, który przejrzéć ani mi na myśl przyszło, zwłaszcza, iż głowa moja była nazbyt winem rozgrzana, a umysł za nadto wzruszonym, abym tyle mógł mieć przezorności w téj chwili. Tym sposobem nie wiedziałem, że banknot jest fałszywy, gdy uniesiony radością do Róży pospieszyłem... Dopiéro teraz poznaję, iż byłem zwodniczego żartu igrzyskiem. Wszyscy obecni byli zapewne o tém uwiadomieni. Przypominam sobie dokładnie, iż nikczemnik ten, który mnie zaprosił na wieczerzę, bez ustanku doléwał mi wina, i że przyjaciele jego głośno się śmiali, gdy niekiedy ozwał się z jakiém słowem, którego znaczenia nie rozumiałem, a którego znaczenie teraz aż nazbyt się wyjaśnia! Oto jest ojcze, cała prawda! Tak się ma rzecz, a nie inaczéj; przysięgam ci, mój ojcze!«

»Kiedy tak, dobrze,« odrzekł pan Lenoir porwawszy w rękę pistolety; »spodziéwam się, iż człowiek honoru nie dozwoli, aby z niego bezkarnie żartowano. Oto masz broń — ja będę twym sekundantem.«

»Kochany ojcze! właśnie uprzedzasz moje życzenie.«

* * *

Rzecz się miała tak w saméj istocie, jak ją Juliusz przed swoim ojcem opowiedział, a że młody człowiek, który go za cel niewczesnego swojego żartu obrał, był tyle nikczemnym, iż go za urazę osobiście przeprosił; zatém całą tę sprawę załatwiono po przyjacielsku.

Pan Lenoir, powróciwszy do domu ze swoim synem, który już go o całym wypadku swéj miłości na drodze uwiadomił, oddał mu list, który był przed kilką godzin w jego obecności napisał: List ten miał adres bardzo pojedyńczy: »Panu Martin, w więzieniu *St. Pelagie.*«

Gdy Juliusz list ten przyniósł biédnemu starcowi, nie mógł znieść surowego wzroku, którym

go przewitał, i spuścił w ziemię oczy; treść listu była następująca:

»Mości panie! Prawo chce, abyś mi z procentem »tysiąc franków wypłacił, zanim jeszcze wyjdziesz »z więzienia; a że w téj chwili nie jesteś w stanie »wypłacenia mi téj kwoty, starać się więc będzie»my pogodzić z sobą innym sposobem, gdyż »bardzo mi wiele zależy na téj ugodzie — z po»wodów, których teraz powiedzieć nie mogę, a »o których się dowiész jeszcze dzisiaj wieczorem »w mém pomieszkaniu. Oddawcy tego listu oświadcz »wćpan ustnie, ażali zamyślasz oddać mu za żonę »córkę swoję? Nie on, lecz ja wćpana o to proszę. »Teraz nic więcéj nie nadmienię, jak tylko, że »mocno zbładzono, i że błąd ten naprawić do »mnie należy. Jakoż i honor wćpana tego wymaga. »Chciéj wćpan bez zarzutów skłonić się ku proś»bom Juliusza, i nie odmawiaj mu ręki córki swo»jéj, o którą ja upraszać się ośmielam; bądź oraz »tak grzeczny, udać się natychmiast razem z nim »do mego pomieszkania. Czekam wćpana. W do»wód méj rzetelności, zostajesz w téj chwili z wię»zienia wypuszczonym. Córka wćpan jest u mnie »i pragnie uściskać jak najprędzéj swego ojca.

»Uniżony sługa Lenoir.«

Byłoby to nadaremném usiłowaniem chcieć opisywać, co się działo w duszy Martina. Nie było to uczucie gniewu, które powstało w jego sercu, albowiem rozbroił go wzrok Juliusza ku ziemi nachylony — nie była to wdzięczność dla starego bankiera, albowiem świeża pamięć haniebnego więzienia i sromotne skrzywdzenie jego córki, cisnęły mu przekleństwo w jego usta. Jednakże stary Martin zdrowym, naturalnym rozsądkiem obdarzony, poznał wkrótce, iż jedyny środek do wynagrodzenia krzywdy, te same podają mu osoby, które do niéj były powodem. Z posępną twarzą poszedł za Juliuszem; lecz skoro pierwszym krokiem wstąpił w zaludnioną wesołym tłumem ulicę, ocknęło się w nim uczucie wolności! Zmiękczone serce skłoniło się do pojednania. Ze łzami w oczach wziął za rękę młodzieńca i rzekł mu: »Synu mój, staraj się uszczęśliwić moję córkę!«

A Juliusz dotrzymał słowa!

— Ze Lwowa. —

Dokładna *Gramatyka języka francuzkiego Kaspra Hirzla* przetłumaczoną została dla Polaków, według przerobienia Orela, przez J. J. Szczepańskiego, nauczyciela języka polskiego w tutejszéj akademii realnéj. Liczne wydania téj gramatyki poświadczają dobroć i gruntowność sposobu, według którego jest ułożona. Tłumacz polski znany jest zaszczytnie z prac swoich publiczności, a niniejsza książka, któréj druk w tych dniach rozpoczął się w Wiédniu, ważną będzie przysługą dla uczących się języka francuzkiego. Nakład jest Jana Milikowskiego, druk J. P. Soliogera.

Wydawane w Przemyślu pismo teologiczne: *Przyjaciel chrześcijańskiéj prawdy*, wychodzi ciągle i tak co do stylu, jakoteż doboru artykułów, widocznie się polepsza. W ciągu r. 1837 zawiérało między innemi następujące ciekawsze artykuły: Wiadomość o kościele parochialnym w Krośnie i pomnikach różnych tamże u ks. ks. Franciszkanów. Obraz kapłana i wikarego prawego; z pism znanego z światła i cnót kapłańskich nie dawno zgasłego księdza Franciszka Faygla, infułata przemyskiego. Przywileje kościoła katedralnego poznańskiego z wieku 13go na wsie różne. Testament hetmana Żółkiewskiego, do dziejów kościoła parafialnego miasta Żółkwi. — W roku bieżącym wyszły trzy zeszyty tego pisma. Obejmują między innemi: Wiadomość o powstaniu i dokumentach metropolii lwowskiéj i halickiéj obr. gr. kat. Historyja metrop. kapituły lwow. obr. łac., tudzież wiadomość o kanonikach tamecznych. — To pożyteczne i tanie pismo powinno być w rękach każdego kapłana w kraju naszym. *A.*

Pisma *Wizerunki i roztrząsania naukowe*, wychodzącego dotąd w Wilnie, pod redakcyją p. Szydłowskiego, ogłoszono nowy drugi poczet. »Droga, którąśmy zaczęli postępować (mówi wydawca w zeszycie pierwszym tego pocztu) zawsze będzie taż sama. Dostarczyć rozsądnym czytelnikom przedmiotów godnych zajęcia umysłu; dać im przed wszystkiem powód do rozmyślania o górnych przedmiotach religii, tudzież moralności chrześcijańskiéj; dążąc, ile zdołamy, za postępem udoskonalenia towarzyskiego, pomnażającego coraz pomyślność i korzyści społeczne; oto są główniejsze pracy naszéj przedmioty.« Zeszyt ten, odpowiadając dążności poprzednicych, w których dobór artykułów tylko chwalić można, mieści: 1) Opis katedry wileńskiéj. 2) O Jędrzeju Śniadeckim. 3) Rozmaitości, które obok doniesienia o dwóch dziełach lekarskich i o poznańskim »Tygodniku literackim,« zawierają także wiadomość o wydawaniu w Wilnie przez (znanego i u nas jako aktora) p. Aśnikowskiego: *Teatru wileńskiego*, na wzór »Teatru warszawskiego,« który już od lat kilku wychodzi. *S. J.*

Tygodnika rolniczo-przemysłowego wyszedł N. 50. i obejmuje przedmioty następujące: 1) O wyniszczeniu chwastów. 2) O parzeniu karmu dla bydła. 3) Dziwne zdarzenie płodu jednéj klaczy. 4) O różném żywieniu koni i bydła. 5) O towarzystwie mleczném. 6) Moczenie konopi w śniegu. 7) Gotowanie przędziwa. 8) Śliwki świéżo przechowywać. 9) Żeby lampy nie kopciły. 10) Zupa z wróbli. 11) Bóty, które wodą nie przemakają. 12) Uwaga dla garbarzy i gospodarzy. 13) Żołędź przeciw dychawicy końskiéj. 14) Czernidło na skóry powozowe i rzemienie stajenne. 15) Kartofle zdatne do gorzelnictwa. 16) Sposób robienia posadzki. 17) Żeby konie w powozie nie zbiegały się. 18) Waga drzewa różnéj jakości.

Donoszą z Czech, iż tamże między innemi rękopismami znaleźć miano nie dawno starożytny śpiéw sławiański: *O Władysławie Warneńczyku*. Bliższéj o tém wiadomości będziemy się starali późniéj udzielić.

Z Warszawy. Dnia 29. września rozstał się z tym światem Ferdynand Baraniecki, tutejszy artysta dramatyczny. (G. Por.)

Wpływ księżyca na mieszkańców ziemi. Dziennik mający powszechną wiarę mówi: »Wielu dotąd mniemało, że to jest tylko szczérym żartem, aby działanie księżyca miało wpływ na rozmaite zmiany powietrza. Jednakże pewność ta istotnie na dostrzeżeniach uczonych badaczów natury i lekarzy jest oparta. I tak doświadczono, że ciało zdrowego i miernym pokarmem żyjącego człowieka, każdego miesiąca o jeden funt na cięžkości przybiera, a przy schyłku miesiąca znowu utraca. Pewna francuzka dama podczas pełni miała twarz

piękną i okrągłą, lecz z ubyciem księżyca miała twarz przedłużoną, nos przeciągnięty i oczy zapadłe, i tak była zmienioną, iż wyjść nie mogła z domu, aż pokąd znowu pełnia księżyca nie nadeszła. Znano również pewną dziewczynę pełno plam na twarzy mającą, które się w miarę odmian księżyca powiększały albo zmniejszały, a to tak nieomylnie, iż je za kalendarz miano. Byli także i tacy, którzy podczas pełni księżyca konwulsyje cierpieli, a te z przypływem i odpływem morza peryjodycznie powracały. Z wezbraniem morza tracili oni zupełnie zmysły i mowę, które dopiéro z ubyciem tegoż znowu odzyskiwali. Jeżeli Baco przy zaćmieniu księżyca omdlewał, dziwić nas nie powinno, że jedna niewiasta w Paryżu podczas wielkiego zaćmienia księżyca ducha wyzionęła. Podług podania Ramazziniego, w czasie zaćmienia księżyca umarło wielu chorych jak i zdrowych nagłą śmiercią w Modenie. Panująca wtedy epidemija przybierała także podczas pełni księżyca charakter zgubniejszy, który dopiéro przy zmniejszeniu się światła jego cokolwiek wolniał. Nie byłto żaden przesąd towarzyszący tym wypadkom, jeżeli na to zwrócimy naszę uwagę, że tylko światło jest życiem organizmu, i że za nagłém lub powolném jego ubyciem nieład, a ztąd częstokroć i śmierć w organizmie powstaje. Z téjto przyczyny wiele jest osób, które wcale nic albo też bardzo niespokojnie spać mogą; inni zaś z téj saméj przyczyny śpiąco chodzą, mówią lub się rzucają we śnie. Ten sam wpływ wywiéra także księżyc na dzieci, chorujące na robaki, które z ubyciem lub powiększaniem się jego mniejszemi lub większemi się stają. I tak wspominają o pewnym lekarzu, który podług odmian księżyca wzmaganie się i zmniejszanie gorączki, a nawet samę śmierć z pewnością przepowiadał, i która istotnie podczas odpływu morza nigdy nie chybiła.«

Balon nassauski. Wielki, tak nazwany balon nassauski, który dnia 4. września r. b. puszczono w Londynie, podniósł się niemal 19.000 stóp, czyli cztery angielskich mil w górę. Aerostat ten, płynąc w wysokości 11.000 stóp przez ostatnią warstwę obłoków, napotkał śnieżną chmurę, która tak podróżnych, jakoteż górną część balonu zupełnie okryła śniegiem; jednakże w krótkim czasie dostał się do tak ciepłéj warstwy powietrza, iż szybko topniący śnieg prawie oblał go wodą. W téj wysokości spadł merkuryjusz do połowy, czego dotychczas nie dostrzeżono. Pan Green dodaje, iż chociaż nie bardzo w znacznéj znajdował się odległości od ziemi, jednakże prąd powietrza tak był silny, iż mil trzydzieści co godzina uleciał. Zresztą najważniejszą rzeczą tak przez pana Green, jakoteż przez jego towarzyszów, Rush i Spencer, jest to postrzeżenie, iż chociaż wszyscy na cztéry mili nad powierzchnią ziemi byli wzniesieni, nie czuli jednak żadnego ściśnienia, ani zapiérania tchu w piersiach, o którém pan Humboldt i inni napowietrzni żeglarze spominają.

Przyjaźń kruka. Na jednym z dziedzińców Królowej Angielskiéj w Newmarket, widzieć można przed stajniami osobliwszy wzór przywiązania, o jakiem jeszcze dotychczas w królestwie zwiérząt nie słyszano. Jestto stary kruk i wyżeł młody. Powodem do tego przywiązania był następujący wypadek romantyczny: »Niemal przed siedmią laty, podczas ostréj zimy, spadł na jeden z owych dziedzińców kruk, który zdawał się być nieżywym. Jeden ze stajennych, podniósłszy go z ziemi wrzucił do budy, w któréj wyżeł miał swoje legowisko. Wypadku tego podtenczas nie zważano bynajmniéj; psa karmiono jak zwykle, a o kruku zapomniano zupełnie. Pod wiosnę wylazł pies z budy i zaczął igrać po zielonéj murawie lub też podług swego zwyczaju zwijać się w około stajen; lecz pies nie był samotnym, zjednał sobie przyjaźń skrzydlatego pazia, który nie tylko snu jego pilnował, ale mu nawet we wszystkich towarzyszył wyprawach. Gdy przyniesiono pożywienie, kruk zawsze wyszukiwał dla niego najlepsze kąski, lub zbierał porzucono kości, i kładł je z troskliwością przed swego towarzysza. Gdy siodłano konia, a jezdziec dawał do poznania, że weźmie psa ze sobą, kruk spieszył natychmiast, i topotem skrzydeł oznajmił swemu przyjacielowi zamiary jezdca; a skoro pies wyruszył z dziedzińca, kruk natychmiast zerwawszy się leciał za swoim przyjacielem, choćby najdalszą była wycieczka. Jakkolwiek przywiązanie to w tak różnórodnych zwierzętach dziwnem jest samo przez się, jednak jeszcze dziwniejszym jest sposób postępowania tego ptaka. Gdy bowiem autor artykułu tego przypatrywał się mu pewnego razu, pies spał na murawie przed dziedzińcem; tuż koło niego stał wierny jego przyjaciel, i w całém ułożeniu i minie swojéj okazywał najtkliwsze przywiązanie; w oczach jego widać było w całém znaczeniu tego słowa, jak największą życzliwość. Nic oprócz psa nie mogło zwrócić na siebie jego uwagi; rzucano mu pokarm, nie tknął go; starano się go spłoszyć, lecz on, zbliżywszy się do swego przyjaciela, okazał się jeszcze bardziéj czujnym, troskliwym. Lord Albemarle polecił sławnemu malarzowi Landseer, aby uwiecznił ten rzadki wzór zwiérzęcéj wdzięczności i przywiązania.«

Nazwiska księcia Talleyranda. Mało jest ludzi, którzy tak często jak książę Talleyrand odmieniali swoje nazwisko. Mąż ten w młodości swéj zwał się *l'abbé de Perigord*, poźniéj podpisywał się *l'éveque d'Autun*, potém *Ch. Murice Talleyrand*, następnie *le prince de Benevent*, a w końcu po upadku Napoleona *le prince de Talleyrand*.

Osobliwszy testament. Pewien *gentleman* w Northumberlandyi zgromadził nie dawno z okolicy swéj majętności wszystkich znakomitszych znajomych. Po skończonym obiedzie, gdy się każdy do woli uraczył, obwieścił zaproszonym gościom, że im przeczyta testament, albowiem wiele na tém zależy, ażeby o nim byli zawiadomieni. Po rozmaitych zapisach dla familii, przeczytał następujący warunek: »Sumę 600 funtów szterlingów, równie jak roczny dochód 200 f. sztrl. zapisuję na wystawienie oberzy w miejscu, gdzie dwa krzyżują się gościńce; oberza ta nosić będzie godło: *Pod poczciwym umarłym.* Zwłoki moje mają być pochowane w piwnicy téj oberzy. Nagrobek, na którym wyryte będą moje imię, przezwisko, dzień mego urodzenia i śmierci, stanowić będzie drzwi do piwnicy. Atoli kamień ten powinien w ten sposób być umieszczonym, ażeby otwierając się zajmował środek szynkowni, która na piwnicy wzniesioną będzie. Roczny dochód 300 funt. ma być użyty w sposób następujący: 50 funt. dla mego piwniczego Jana Hart, który zarządzać ma nadmienioną oberżą, i który poźniéj ten instytut przekazać może swym potomkom płci męzkiéj; 50 funt. na wyprawienie każdego roku dwóch wielkich obiadów, z których jeden ma być dany w szynkowni w dzień mego urodzenia, drugi w saméj piwnicy w dzień mojéj śmierci. Na każdym z tych obiadów powinno być 25 osób: szeryf wymieni 13, a Jan Hart resztę; 50 funt. na zakupienie piwa i wódki dla rozdania pomiędzy najuboższych mieszkańców kantonu. A nakoniec 50 funt. dla odnowienia w piwnicy zasobu przeznaczonego dla ubogich, pieszych podróżnych, którzy wstąpiwszy do oberzy żądać będą napoju. Oberza jako własność należéć będzie do kantonu, ale nigdy sprzedaną być nie może.« Zakończenie opiewa w ten sposób: »Was zaś wszystkich obecnych zapraszam na zgromadzenie się do wielkiéj izby gościnnéj w dzień Sądu ostatecznego!« Testament ten przyjęto z głośnym okrzykiem.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*